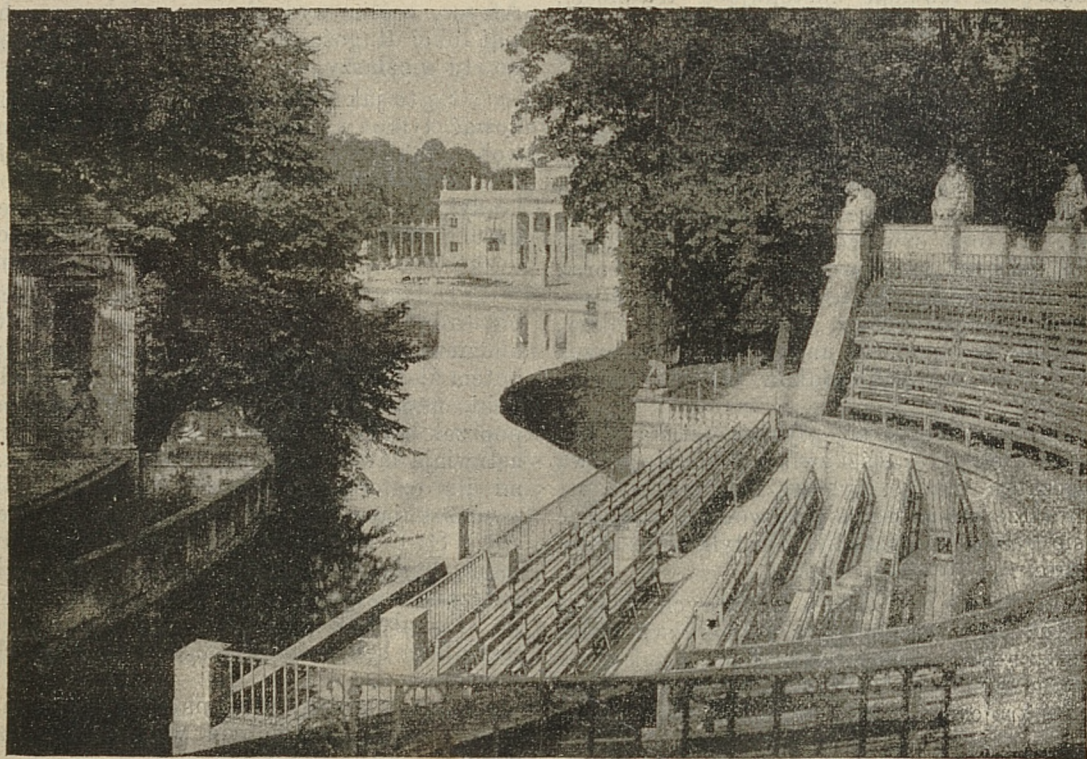


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Z WIDOKÓW WARSZAWY.



Teatr na wyspie w Łazienkach.

Zaczyna się wiosna, a z nią spacerzy na świeżem powietrzu, których wszyscy, zarówno starsi jak młodszy z upragnieniem wyczekują. Mieszkańcom wsi o spacerzy takie nie trudno, gdziekolwiek wyjdą, mają pole, łąkę, a jeśli nie las to przynajmniej gaje lub aleje; my Warszawiacy pod względem ogrodów jesteśmy dość upośledzeni, ale za to możemy korzystać z przechadzek po wspaniałym parku Łazienkowskim, gdzie sztuka połączona z naturą stworzyła jedną z najpiękniejszych miejscowości.

Łazienki stanowiły niegdyś część majątku Jazdowa,

istniał tam podobno jakiś stary dwór ze stajniami, oborami, łaźnią, sadzawką i ogrodem. Pierwszy August II zwrócił uwagę na to ustronie i urządził w nim zwierzyńiec, połączony z Wisłą za pomocą kanału. Ale właściwym twórcą Łazienek był Stanisław August, który od roku 1768 począł upiększać dziki dotychczas park i wznosić piękne budowle — a mianowicie prześliczny pałacyk, teatr grecki ze sceną na wyspie, wspaniały posąg konny Jana Sobieskiego, odsłonięty uroczystie d. 14 września 1788 r., które podajemy na załączonych rycinach.

Władysław Ulmiński.

HISTORIA ŚRODKÓW KOMUNIKACYI.

III.

Żegluga u ludzi nieucywilizowanych.

Człowiek z dawien dawna zmuszony był przepływać się przez rzeki i jeziora. obmyślał więc rozmaite sposoby ułatwienia sobie tego niebezpiecznego przedsięwzięcia, tem bardziej, iż zauważył rychło, że daleko łatwiej jest przenosić się z miejsca na miejsce, płynąc z prądem rzeki, przepływając się przez jezioro, a nawet przez zatokę morską, niż przedzierać się przez dziewicze lasy, góry lub pustynie. Od niepamiętnych czasów żegluga uznana została, jako jeden z najważniejszych i najdogodniejszych środków komunikacyjnych i ułatwiających stosunki między ludami, przyczyniła się do rozwoju cywilizacji, czego najlepszym dowodem jest to, iż narody mieszkające nad morzem np. Fenicyanie, Grecy, daleko prędzej wyszły z pieluch barbarzyństwa, niż plemiona żyjące w głębi lądów.

Żegluga następcza ludzkości następujące trudności. Przedewszystkiem trzeba się na wodzie utrzymać, a więc mieć statek, któryby nie tonął i swobodnie się na wodnej toni poruszał. Następnie trzeba posiadać siłę, któraby ów statek poruszała, gdyż nie na wszystkich wodach jest prąd i nie zawsze w stronę prądu zmierzać pragniemy. Nakoniec trzeba koniecznie mózdz kierować statkiem dowoli a oprócz tego umieć się oryentować na wielkich wodnych przestrzeniach, gdzie linia brzegowa nie daje do tego żadnych wskazówek. Narody cywilizowane rozwiązały zagadnienia w sposób znakomity i wprowadzają ciągle coraz większe udoskonalenia, ludy dzikie zatrzymały się na pewnym tylko stopniu rozwoju żeglugi, choć przyznać należy, że przy małym zasobie wiadomości, umiały wynaleźć przez doświadczenie wiele zasadniczych środków (czółno, żagiel, wiosło i ster)

Najprzód człowiek nauczył się pływać; sztuka ta bowiem jest wrodzoną większej części zwierząt, a więc łatwą do nabycia, z początku mu to wystarczało; potem, spostrzegłszy, że pnie drzewne unoszą się na wodzie, wiązał je razem i zjawiała się *tratwa*, najprostszy, jaki tylko można sobie wyobrazić, statek.

Tratwę spotykamy do dziś dnia u niektórych dzikich ludów: tak np. Indianie kalifornijscy (Ameryka), chcąc przepłynąć się przez rzekę, siadają okrakiem na pęk trzciny, który służy im za statek. Na wielkiej wyspie, Nowa Gwinea (Australia) krajowcy budują sobie tratówki z ogon-

ków liści kokosowej palmy i na tych nędznych stateczkach, używając gałęzi zamiast wiosła — zapuszczają się aż na czwarte morze o parę mil od brzegów.

W krajach ubogich w drzewa, widzimy tratwy z zeszytych i wydętych powietrzem skór zwierzęcych, albo też pęcherzy.

W Mezopotanii ten sposób był w użyciu oddawna i utrzymał się do dzisiaj. Pewna starosyryjska rzeźba przedstawia wojownika, przepływającego się przez rzekę Eufrat na takim właśnie statku. Pływające na rzece Tygrys, tratwy skórzane nazywają się *kelekami*; składają się zaś z 50 — 80 watorów (burdziuków), zwiniętych trawą i połączonych żerdziami, na których kładzie się pokład z desek.

Po ukończonej żegludze, właściciel tratwy wypuszcza powietrze ze skór i ładuje je wraz z towarami na grzbiety osłów, wiedząc, że tratwa przyda mu się na przyszłość.

Skórzanych statków używają też Kirgizi w okolicach morza Kaspijskiego i niektóre szczepy indyjskie w Ameryce południowej.

Kto ma jakieś doświadczenie, ten pojmuje doskonale, że wydrążony pień drzewa uniesie daleko większy ciężar, aniżeli pełny; zamiast tratwy lepiej więc używać wyłobionej belki. Tak rozumując, człowiek zbudował *czółno*.

Murzyni z Kamerunu posiadają czółenka tak małe i wąskie, że mogą one unieść zaledwie jednego człowieka; gdzieindziej znów, np. na porzeczu Kongo, w środkowej Afryce, czółna wydrążane z pni drzewnych mają kilkadziesiąt łokci długości, a trzy albo cztery szerokości i mieszczą do stu wiosłarzy.

Są to jak widzimy, prawdziwe olbrzymy; można je budować tylko w gorących krajach, obfitujących w drzewa, wobec których nasze najcięższe sosny wydałyby się karłami.

Pokażnie też wyglądają łodzie żłobione z Nowej Zelandyi, bardzo szerokie, głębokie i mające do 80 stóp długości. Mieszkańcy tej wielkiej wyspy posiadają znaczną liczbę tych statków; staczają w nich bitwy na morzu.

Indianie północno amerykańscy, chcąc sporządzić sobie czółno, obalają jak najgrubszy cedr, topolę lub jodłę, obdzierają pień z kory, obrabiają ją w odpowiednią formę potem żłobią toporami i ogniem; ażeby nadać łodzi wygięte boki, napełniają ją gorącą wodą i rozpierają wbijaniem na poprzek belkami, dopóki się nie stanie pękata. W końcu ustawiają ławki i pokrywają kadłub rysunkami albo rzeźbami dla ozdoby. Najlepsze statki wymyślili dzikie ludy, zamieszkujące licznie rozsiane po oceanie Spokojnym wyspy. Są to łodzie długie a wąskie, z podniesionymi przodami, kryte ażeby fale morskie nie zalewały wnętrza i zaopatrzony w pływaka, który ma na celu utrzymanie równowagi. Ów pływak, połączony z łodzią poprzecznymi drągami, jest długą belką zaostrzoną na obu końcach i pływającą na powierzchni.

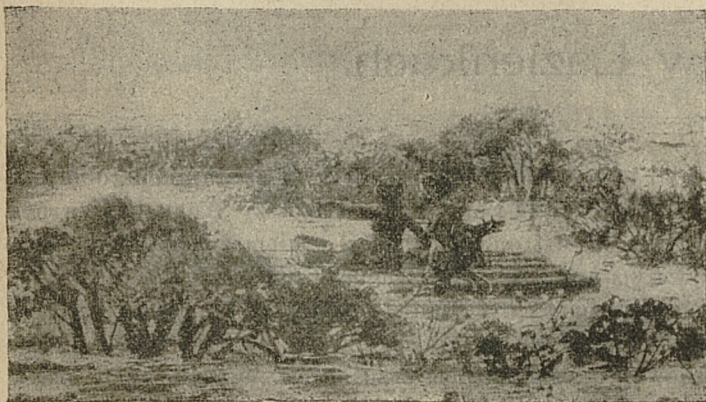
Jeżeli statek, pod naciskiem wichru pochylił się, pływak zostaje podniesionym w górę i nie pozwala mu się wywrócić.

Piroga taka pod trójkątnym żaglem płynie doskonale nawet po wzburzonym morzu i Polinezyjczycy odbywają na niej podróże, trwające po kilkanaście dni bez przerwy, kierując się gwiazdami i słońcem. Są to więc dzielni żeglarze, tembardziej godni podziwu, że powierzają się zdradzieckiemu oceanowi w tak wątpliwych stateczkach.

Najlepsze łodzie budują mieszkańcy wysp Marszałkowskich i Karolińskich; rzecz godna uwagi, że ci ostatni posiadają nawet pewnego rodzaju mapy morskie, plecione z kolorowych włókien i są na nich oznaczone najważniejsze prądy, wyspy i rafy, za pomocą patyczków i muszelek.

Jeżeli wiatr i fale przewrócą polinezyjską „pirogę,” to doskonale pływająca załoga wskakuje do morza i niebawem ją podnosi.

(d. n.)



Tratwa Papuasów.

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— Wszystkie te cuda znajdują się w turniach naokoło Zielonego stawu, na węgierskiej stronie — powiedział Jakób. — Sir Warburton wolałby może znaleźć tę cudowną roślinę, której podobnej niema na całym świecie, niż różę bez kolców?

— Nie opłaci się, sir Edwardzie, upędać za rośliną wytwarzającą złoto — odezwał się Strand. — Przy dzisiejszych postępach chemii, gdy Moisson wynalazł sposób otrzymywania sztucznych dyamentów, niczem nie różniących się od prawdziwych; gdy produkuje granaty, szafiry i inne drogie kamienie, jest nadzieja, że lada dzień odkryje także tajemnicę tworzenia złota. Doczekamy się jeszcze, że stanie się ono materiałem codziennego użytku, jak stal lub inne metale; a wtedy kobiety ubiegające się za kosztownościami, będą w kłopotcie w co oprawiać swoje klejnoty, z jakiego metalu nosić ozdoby!

— Ten wiecznie przypina łatki kobietom — szepnął doktor do malarza.

— Dyament był dotąd królem drogich kamieni i celem pożądań — mówił Strand dalej. — Niejeden dla zdobycia go nie cofnął się nawet przed zbrodnią; a ile trudu, ile pracy kosztuje wydobyć go z kopalni! Moisson obywa się bez tego zachodu: bierze czysty węgiel, wykrystalizowuje go w roztopionem żelazie lub srebrze, oziębia następnie tę mieszaninę i oto jest dyament równie prawdziwy, i równie szlachetny jak ten co się urodził w kopalni.

— Ależ to są dopiero drobniotki kryształki, będące zaledwie śladami dyamentów — zrobił uwagę Warburton.

— Wielkość ich jest tylko kwestyą czasu — odrzekł profesor.

— Nie skończyłem jeszcze wyliczać wszystkich osobliwości tych gór — mówił dalej doktor. — Jest podobno w okolicy Zielonego stawu podziwienią godna jama: górale utrzymują, że po wrzuceniu do niej kamienia, wydobywają się ztamtąd dymy i mgły, a potem następuje burza tak straszna, że od niej drżą wszystkie turnie.

— Ze słów pańskich wygląda to na jakiś przybytek czarów, ale naturalnie nikt nigdy owych dymów nie widział.

— Ja widziałem, sir — odezwał się malarz, słuchający dotąd w milczeniu.

— Pan! — zawołali wszyscy jednogłośnie, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

— Tak, tylko zachodzi różnica co do miejscowości. Ja widziałem ów dziw przyrody w zachodnio południowej stronie Kesmarku, przy wiosce Žďár.

— Ten Žďár, to istotnie jakaś zaczarowana miejscowość — powiedział Warburton — skoro dokoła niej znajdują się skarby i dzieją się rzeczy nadzwyczajne.

— Žďár po węgiersku znaczy jutrzeńka — objaśnił malarz. — Jest tam góra zwana Magorą; w Tatrach nazwa ta często się powtarza: otóż u stóp tej góry znajduje się w skale wielka i głęboka jama, z której wnętrza wybucha czasem słup gazów, do mgły podobnych. Wiedzie do niej głęboki loch. Jest to prostopadła komnata, piętnaście sążni wysoka, zawsze prawie mglistą parą napełniona, w której o kilkanaście kroków od wstępu, znajdują się niezgłębione przepaście. Nikt jeszcze nie odważył się przeniknąć w owe tajemnicze pełne podziemia: grunt gliniasty, wilgotny, śliski, wstrzymuje kroki. Ołowianki zapuścić nie mo-

żna z powodu wystających odłamów. Gdym wystrzelił z rewolweru, echo przez kilka minut z głuchym rozlegało się hukami; dowód to, że jaskinia ciągnie się w głąb góry i że przejścia w różnych kierunkach się rozchodzą. Przy blasku pochodni rozpoznać można wiszące u sklepienia pocerniały, ciemne sople, najdziwniejszych kształtów; niekiedy daje się czuć ciąg powietrza. Wydobywające się z tej jaskini mgły, są dla okolicznych mieszkańców najpewniejszą zapowiedzią zbliżającej się burzy, która prawie zawsze tego samego jeszcze dnia, po kilku godzinach następuje, jak to sam naocznie się przekonałem. Jest to dla tamtejszych mieszkańców barometr równie nieomylny, jak dla Podhala czepec Babiej góry.

— Dziwne zjawisko — przerwał baronet.

— Zjawisko takie samo daje się widzieć na górze Jos o pięćset kroków oddalonej od małej Łomnicy. Góra ta składa się z mniejszych i większych pieczar, podobnie jak Magora. Czasami w najgorętszy dzień w lecie, przy najczystszej powietrzu, powstają z jej łona kolumny mgły piętrzące się, jak dymy wielkiego pożaru. Zapowiadają one zwykłe burzę z gradem i piorunami.

— Jakaż przyczyna tego zjawiska?

— Przyczyna jest bardzo prosta — odezwał się Strand. — Zmniejszenie ciśnienia powietrza przed burzą, sprowadza silniejsze wydobywanie się z jaskiń prądów nasyconego wilgocią powietrza. Wilgoć ta skrapla się przy zetknięciu z powietrzem chłodnym, tworząc słupy mgły i chmurki pod nad otworami pieczar.

— Powiadasz więc doktorze, że rodak mój Townson pierwszy zwiedził Tatry — odezwał się baronet.

— Nie mówiłem, że pierwszy je zwiedził, ale że jeden z pierwszych czynił tu spostrzeżenia barometryczne. Pierwszy je zwiedził Fröhlich, Niemiec ze Špiża i opisał swoją wycieczkę na któryś szczyt tatrzański. Było to w wieku XVII-ym.

— To późno!

— W tym samym wieku dwaj Buchholzowie a w wieku następnym trzeci Niemiec zwiedzali i opisywali Tatry. Na początku bieżącego wieku Walehnberg, słynny botanik szwedzki, przybył tutaj i owoce swej podróży zamknął w znakomitem dziele o florze karpackiej. Z Polaków, nie będę wymieniał tych co pobieżnie o Tatrach pisali: badań poważnych dokonał pierwszy Staszyc w r. 1804. Wdzierał się on na najwyższe szczyty i czynił pomiary naukowe, czego owocem było piękne dzieło „O ziemioroństwie Karpat.” Później Zeisner studia swe geologiczne nad temi górami ogłaszał, a Janota i Nowicki wielkie w poznaniu Tatr położyli zasługi: pierwszy mierzył wzniesienia, drugi badał faunę tatrzańską i zwrócił uwagę na język Podhalań. Opisywali Tatry cudzoziemcy i Polacy, ale szerszy ogół długo nie o nich nie wiedział. Naprawdę odkrył je dopiero doktor Chałubiński, człowiek wielkiej nauki, który tak się w tych górach rozkochał, że niema prawie szczytu którego by stopą swoją nie dotknął. On urządzał ciekawe po górach wyprawy, zachęcał młodych przyrodników do ich badania, on zebrał i opisał mchy tatrzańskie; on nie tylko sam przyjeżdżał tu corocznie, ale przysyłał swoich pacjentów i podniósł Zakopane do znaczenia stacyi klimatycznej.

— Zapominasz pan o Walerym Eliaszu, autorze *Przewodnika*, pracującym już lat czterdzieści na niwie tatrzańskiej — ujął się malarz za bratem w sztuce.

— Nie zapominałem: w książce Eliasza można znaleźć streszczenie wszystkich wiadomości o Tatrach. On uczy podróżnika, jak się ma na wycieczce zachować, co oglądać i jak patrzeć.

— W ostatnich latach badanie tych gór bardzo postąpiło — rzekł Witold. — Zmierzano głębokość i powierzchnie jezior, zbadano skały, poczyniono spostrzeżenia klimatyczne, opisano zwierzęta i rośliny.

Warburton spojrzął na wierzchołki turni, poza którymi słońce oddawała się już skryło, i rzekł:



Doktor Chałubiński.

— Dobrze nam tu jest, ale wracajmy, bo zaczynam uczuwać głód

— I ja także — powiedział Strand.

W kwadrans potem, doszli do schroniska, gdzie stół już zastano nakryty, a na nim pasztet na zimno, chleb, bryndzę, ser, koniak i wino. Kucharza nie było przy ognisku, bo odjechał z lady Chester, jak rozporządził baronet, ale góral pilnował przygotowanego przez niego obiadu i podał na stół półmisek z gorącym roast-beefem, nad którym długo biadał dostoyny kucharz, że mięso chude i twarde. Marudząc przecież, tak umiał go przypawić, że wszystkim wydał się kruchy i wyborny. Może część zasługi przypadała tatrzańskiemu powietrzu i trudom wycieczki raczej, niż sekretom mistrza gastronomii.

Zapach ten miłym był dla zgłodniałych turystów: zabrali się energicznie do jedzenia, i przez czas jakiś słyhać było tylko brzęk noży i widelcy. Gdy pierwszy głód zaspokojo, sir Edward odezwał się:

— Mam tu wino kupione na Węgrzech, a pochodzące z winnic rosnących na południowych stokach Tatr: Jerry, nalewaj!

Był to przedni stary tokaj, od którego krew szybciej krążyć zaczęła w żyłach uczujących. Łagodny a zdradliwy, barwę miał starego złota i przepyszny aromat. Butelka była zapleśniała. Malarz przyglądał mu się pod światło okiem znawcy, przybliżał i oddalał, badał ów aromat subtelny, wreszcie odezwał się:

— To wino przypomina mi coś, co słyszałem od pewnego Niemca, mającego własne na Węgrzech winnice. Znał on doktora Chałubińskiego i podziwiał jego umysł wszechstronny, a więcej jeszcze zaostrożony do najwyższego stopnia zmysł powonienia i wyborną pamięć. Częstoował on go winem własnego wyrobu i zapytał jak mu smakuje: — Dobre jest — była odpowiedź — ale w aromacie jego odróżniam zapach pewnej Gentiany, która rośnie tam a tam. Niemiec zdumiony przyznał, że winnice jego istotnie znajdują się w miejscowości, gdzie te Gentiany rosną obficie.

— To mi wygląda nieprawdopodobnie — rzekł profesor; — winne jagody mogły się przejąć do pewnego stopnia zapachem owej Gentiany, jednakże w tak słabym stosunku, iż zdaje się niemal niepodobieństwem, aby węch człowieka mógł go odróżnić.

Wieczór powoli zapadał i mroki zapanowały w dolinie. Z załomów skał występowały liczne cienie i zaludniały ową świątynię, do której przyrównano ten uroczy zaką-

tek. Z nad potoku unosiły się mgły i szły w górę niby dymy ofiarnych kadzideł, a księżyc płonął łagodnym, czystym światłem. Chłód lekki czuć się już dawał: baronet kazał powtórnie napełnić kieliszki i odezwał się:

— Słyszałem, że jest tu jakiś wąwóz, w którym kształty skał naśladują w zmniejszeniu kształty murów starożytnego miasta. Prawdąż to?

— Prawda, sir. Wąwóz ten nazywa się Krakowem; przy odrobinie dobrej woli i fantazyi, znaleźć tu można kościół Maryacki, Rynek, Sukiennice, Zamek królewski, nawet Smoczą jamę. Jutro pokażemy panu ten wąwóz.

— Smocza jama! — powtórzył. — Czyżby apokaliptyczne smoki żyły w waszych Tatrach? W takim razie nie chcę czekać jutra. Weźmy pochodnie i idźmy na spotkanie smoka!

— Nie — odrzekł, śmiejąc się malarz — badacze fauny tatrzańskiej, nie wpadli nigdzie na ślad smoka; ale jest grotą długa na sto kilkadziesiąt metrów, którą można przejść na wskroś górę.

— A to ciekawe! Dla czego jednakże nazywają ją Smoczą?

— Bo jest podobna do innej, znajdującej się pod górą Wawel w Krakowie, gdzie żył prawdziwy smok mający siedm głów.

Tu opowiedział znaną legendę o Krakusie, która bardzo podobała się cudzoziemcom. Doktor wspomniał, że istnieje też legenda o wojsku śpiącym pod Pisaną i sir Edward zapragnął ją usłyszeć — ale żaden z panów nie znał jej dobrze, a górale mówić nie chcieli, wymawiając się, że to potrafi najlepiej Sabała. A że baronet okazywał wielkie zainteresowanie, więc postanowiono przy pierwszej sposobności sprowadzić mu Sabalę.

— Któż to jest ów Sabała? — zapytał Warburton, któremu wszystko co się mówiło, tłumaczono na język niemiecki.

— Jest to stary góral, mający już około ośmdziesięciu lat, a chodzący po szczytach, jakby miał dopiero dwadzieścia; poeta i zarazem filozof, postać bardzo oryginalna. Całym jego majątkiem są gęśliki, czyli skrzypki, które nosi zaszyte w rękawie swej suchy.

— Zaciekawiacie mnie. Radbym poznać tego Sabalę!

(d. c. n.)

Jerzy Waszyngton.

(Dokończenie).

Pod Broklin, Anglicy znaczne odnieśli zwycięstwo, które wojskom ich na długi czas przewagę zapewniło. Zajęli New-York. Waszyngton musiał opuścić stanowisko swoje pod White-Point, i cofnąć się w góry północne. Z przezornością unikał większej bitwy i tak utrzymał się aż do listopada. Opuściła go milicya, której czas służby już wyszedł, musiał się więc przepawić na drugą stronę Delaware. Anglicy zajęli bez przeszkody całą prowincję Rhode-Island, zdobyli New-Port 18 grudnia, przez co flota ich wyborną zyskała przystań na czas zimy. Filadelfia stanęła im także otworem, kongres uciekł spiesząc do Baltimore, na szczęście zawahał się Howe, a Waszyngton zyskał tym sposobem czas, żeby zebrać rozpięchłe swoje wojsko i wzmocnić siły ochotnikami z Pensylwanii i New-Jersey. Ruszył więc znów naprzód, w dzień Bożego Narodzenia 1776 przełamał szyki Anglików pod Trenton, oswobodził Filadelfję i 3 stycznia 1777 pobił generała Kornwalis pod Princetown. Pułkownik Barton zwy-

ciężył jednocześnie angielskiego generała Prescou, armia angielska ustąpić musiała ze wszystkich swoich stanowisk w New-Jersey. To dodało ducha Amerykanom, a odwaga ich wzrosła jeszcze, gdy przybyli sławni mężowie europejscy, ażeby walczyć w ich szeregach jako ochotnicy.

W czerwcu 1777 generał Howe postanowił atakować Filadelfię od strony morza. Rzeka Delaware zamknięta była przez Amerykanów, Howe pożeglował ku południowi, wylądował w Chesepek-Bay, i poszedł znów ku północy na Filadelfię. Przy rzece Brandwyne spotkał wojska Waszyngtona, pobił je, i 26 września wszedł do Filadelfii, z kąd kongres powtórnie uciekać musiał. Wojska nieprzyjacielskie spotkały się znów pod Germantown, a i tym razem Waszyngton został odparty i pobity.

III.

Poczas gdy Waszyngton tak uciążliwą prowadził walkę w południowych prowincjach z przemagającą siłą nieprzyjaciół, w północnych, generałowi Gates więcej szczęście sprzyjało. Angielski generał Bourgoyne zamierzał dojść do Albany ze swoim wojskiem, ażeby w New-Yorku połączyć się z głównymi siłami brytańskimi. Amerykanie cofnęli się przed nim do rzeki Hudson, ażeby tu wzmocnić się milicją z prowincji Vermont, New-Hampshire i Konektikut. Bourgoyne znajdował się już o 7 mil angielskich od Albany. Tu zatrzymać się musiał dla braku żywności i wysłał 500 ludzi do Benningtonu, ażeby zabrali magazyn

amerykański. Ale i ten hufiec, i drugi, wysłany po nim, dostały się w ręce Amerykanów. Bourgoyne wyruszył z całą siłą, został jednak pobity pod Saratogą, 5 mil od Albany i cofnął się. Rzeka Hudson, przez którą musiał się przeprawić, osadzona już była przez Amerykanów; otoczony ze wszystkich stron, znuwiony był poddać się generałowi Gates z wojskiem swoim, które z 7000 zmniejszyło się już do 3500 ludzi.

Zwycięstwo pod Saratogą rozstrzygnęło niejako losy osadników, zyskało im bowiem silnych sprzymierzeńców. Francya, która już oddawna ze współczuciem śledziła walkę Amerykanów, skorzystała ze sposobności, ażeby osłabić Wielką Brytanię. W tym celu zawarła 18 grudnia 1777 traktat handlowy z osadnikami, a 8 lutego 1778 formalny związek; wystawiła dwie floty i namówiła Hiszpanię i Niderlandy do wypowiedzenia wojny Anglii. Niewiele wprawdzie zdziałała flota francuska, zawsze jednak rozerwała nieco siły angielskie. Dotkliwym jednak ciosem dla Amerykanów była zdrada generała Arnolda, który przeszedł do nieprzyjaciół i niejedną zadał klęskę swoim niegdyś współtowarzyszom broni. Wtargnął on do Wirginii i pustoszył kraj w sposób straszliwy. Nieprzyjacielem zażądali dostawy żywności z Mount-Vernon, majątku Waszyngtona. Rządca posłał żądane prowizye i prosił, żeby szanowali dobra jego pana, co też nieprzyjacielem uczynili przez wzgląd na sławę wielkiego wodza. Postępek ten nie zgadzał się wcale z duchem patriotycznym Waszyngtona, natychmiast też napisał ostry list do rządcy: „Co mnie najwięcej, nar-

Z WIDOKÓW WARSZAWY.



Pomnik króla Jana Sobieskiego w Łazienkach w Warszawie.

twi, to, że pan udajesz się do nieprzyjaciół i w żywność ich zaopatrujesz. Byłbym wolał dowiedzieć się, że w skutek stanowczej ze strony pana odmowy, nieprzyjaciół spalił mój dom i zniszczył plantacye. Powinieneś pan być pamiętać, że jesteś moim zastępcą i pomyśleć, jaki to zły przykład dla innych znosić się z nieprzyjacielem i opłacać mu się dlatego tylko, żeby oszczędzić mój majątek."

Nareszcie po wielu zmiennych kolejach wojennych, udało mu się przy pomocy floty francuskiej, obledz New-York, gdzie zamknęła się główna armia angielska pod lordem Kornwalis i po krótkim lecz energicznem oblężeniu, zmusić go do poddania. Zwycięstwo to było rozstrzygające. Anglia po długich dosyć układach, zawarła nareszcie pokój 1783 r.. Amerykanie wyszli zaszczytnie z tej walki, niezależność ich kraju na zawsze ugruntowaną została.

Łatwo sobie wyobrazić radość osadników. Wszystkie oczy i serca zwracały się na męża, któremu to szczęście swoje głównie zawdzięczały, a i Waszyngton był szczęśliwy, jak tylko szczęśliwym może być człowiek, który z zupełną bezinteresownością, jedynie z poczucia obowiązku, pracuje dla dobra współbraci i widzi tę pracę uwieńczoną najszcześniejszym skutkiem. Dopełnione było wielkie dzieło. Waszyngton serdeczny brał udział w radości ogólnej, poczem postanowił wrócić do rodziny, do cichego życia wiejskiego. Uroczyście złożył swój urząd i na kongresie, w obec niezliczonego mnóstwa ludu, miał mowę pożegnalną. Odpowiedział mu prezydent, starzy wojownicy płakali, gdy ze statku, który go miał zawieźć do ogniska domowego, przysłał im ostatnie pożegnanie.

IV.

Waszyngton, powróciwszy do domu, z równą gorliwością, jak niedawno sprawom wojennym, oddał się cichej pracy rolnika. Tymczasem w pojedynczych prowincjach wszczął się niepokój, spowodowany nieładem, który się zakradł podczas wojny długoletniej. Żeby złemu zapobiedz, ustanowiono rząd, a Waszyngton, powołany na naczelnika, bez namysłu przyjął tę nową godność i nowy, trudny obowiązek, ażeby ostatecznie już wykończyć rozpoczęte dzieło. W istocie nie mało się przyczynił do ułożenia dla rzeczypospolitej rozumnych i praktycznych ustaw i jako prezydent, rządził krajem przez lat 8 z taką mądrością i mocą, że, gdy po raz drugi wrócił do zacisza domowego, nie dał się słyszeć ani jeden głos nagany, przeciwnie, uniósł z sobą wdzięczność swego narodu i uznanie świata całego.

Waszyngton umarł 14 grudnia 1799, ale nie umarł z nim dobre jego czyny i rozumne urządzenia. Odtąd kraj, dla którego Waszyngton żył i pracował, olbrzymim krokiem dążył do postępu. Do związku przyłączyły się nowe prowincje, handel Amerykanów prześcignął nawet handel kraju macierzystego, wielkie i ludne miasta powstawały na rozległej ziemi i potrzeba tylko było jedności pomiędzy sobą prowincyj, wiernego zachowania praw już ustanowionych, ażeby zapewnić Stanom Zjednoczonym dobrobyt i pomyślność.

TESTAMENT DEIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Na domiar złego, jakby już wszystko sprzysięgło się przeciw sławnemu siłaczowi, wiatr obrócił się nagle i dał z całej siły, w skutek czego statek dążąc przeciw badwanom coraz większemu ulegał kołysaniu, mimo znacznie zwolnionego biegu.

— Jeżeli tak potrwa dłużej, to nieszczęsna ta wyprawa może zająć podwójną ilość czasu i zamiast trzydziestu kilku, przeciągnąć się najfatalniej dla mnie do jakich ośmdziesięciu godzin — myślał zrozpaczony Milner, który przeszedł wszystkie stopnie niepokoju, gdy jego towarzysz przechodził wszystkie fazy tej szkaradnej choroby, zwanej morską.

Nareszcie dziewiątego maja nad wieczorem, po gwałtownym, lecz na szczęście krótkotrwałym wicherze, ukazały się piaszczyste wybrzeża Teksasu, otoczone niby koronką, drobnymi wysepkami, w około których unosiły się liczne stada pelikanów.

Biedny Tom Crabbe! Teraz chociaż często, może nawet zbyt często otwierał usta, nie jadł przecie już nic zupełnie od ostatniego posiłku, spożytego w porcie Eads.

Milner pocieszał się jeszcze nadzieją, że jego olbrzymi pupil zdoła w końcu przezwyciężyć chorobę i okaże się mniej więcej możliwym dla oka ludzkiego, skoro parowiec nie kołysany już wzburzoną falą morską, wpłynie do zatoki Galweston.

Ale i ta nadzieja go zawiodła. Nawet na spokojnych już wodach Crabbe był ciągle niemożliwy...

Miasto Galweston rozkłada się na samym krańcu mądrego piaszczystego przylądka. Z wielkim nakładem zbudowany wiadukt, łączy je z dalszym lądem, ułatwiając stosunki handlowe, których głównym przedmiotem jest bawełna.

Zaledwie parowiec zajął swe miejsce przy pomoście i John Milner rozejrzał się dokoła, aż zaklął w myśli widząc na wybrzeżu zebrane towarzystwo kilkuset osób. Nie trudno mu było domyśleć się, jakiego rodzaju ciekawość spowodowała ich tu dzisiaj. Już bowiem w czasie przeprawy dowiedział się od kapitana, że z Nowego-Orleanu wysłano depeszę z zawiadomieniem, iż drugi partner wielkiej gry i zarazem niezrównany siłacz, jedzie parowcem Sherman do Galweston.

Czyż więc dziwić się można, że na taką wieść poruszyła się cała ludność miasta, że wielu pragnęło zobaczyć olbrzyma?

A cóż on im teraz pokaże? Zamiast siłacza wzbudzającego podziw i poszanowanie, leży oto na pokładzie bezkształtna bryła, podobna raczej do jakiegoś worka wielkich rozmiarów, aniżeli do ludzkiej postaci.

Zły i zrozpaczony Milner spróbował jeszcze ożywić go fizycznie, podnieść go z tego upadku w najwyższym stopniu niekorzystnego

— Słyszysz Tom... rusz się przecie!... Stań na nogi, no dalej żywo! Już przybiliśmy do portu, tłum ludzi czeka tu na nas!...

Ale worek został workiem i Milner wolałby się pod ziemię schować, niż być obecnym jak przenoszono Crabba na noszach do najbliższego hotelu, bo nie obeszło się przytem bez złośliwych uwag publiczności, które z udaną obojętnością wysłuchać musiał zamiast życzliwych okrzyków, jakie towarzyszyły ich odjazdowi z Chicago.

Nie wszystko wszakże było jeszcze stracone. Po do-
brze przespanej nocy i zdwojonych dnia następnego
porcycach, olbrzym odzyska niezawodnie swe siły i będzie
znowu godnym podziwu...

Tak pocieszał się John Milner. Ale noc nie przynio-
sła najmniejszej zmiany na lepsze — Crabbe pozostawał
bez zmiany w tym samym stanie fizycznej niemocy, boć
duchowych oznak życia nikt od niego nie wymagał nigdy.
Czyż zupełnie bez zmiany?... Nie. Od chwili gdy go znie-
siono na łódź stały, siłacz miał już usta prawie hermetycznie
zamknięte. — Nie wzywały one pożywienia, bo i żołądek
jego nie upominał się o nie nawet w zwykłych dawniej
godzinach posiłku.

W tych samych warunkach upłynął dziesiąty, a na-
wet jedenasty maja.

Niepokój Johna Milnera wzrastał teraz z każdą go-
dziną.

— Co tu robić, co robić?... — powtarzał, chodząc
szybkim krokiem po pokoju. — Może nadejść szesnasty, a ja
tu będę jeszcze bezradny siedział, i wszystko przepadnie...
Sześćdziesiąt milionów miałem w perspektywie i będę je
musiał stracić, stracić niepowrotnie... Ale nie ustąpię tak
łatwo! Trzeba mi koniecznie zdecydować się na krok sta-
nowczy.. Jeżeli mój siłacz ma zwycięsko wyjść z zapasów
z tą przebrzydłą chorobą morską, która go powaliła, to ho-
daj wszystko jedno czy nastąpi to w Austin czy też Galwe-
ston — a tam przynajmniej będzie już na swem stanowisku.
Nie zwlekajmy więc, i dalej naprzód.

Po tym monologu energiczny przedsiębiorca sprowadzić
kazał wielki omnibus, do którego nie bez trudu złożono
drugiego partnera, kład go następnie z równym wysiłkiem
przeniesiono do wagonu.

O wpół do dziewiątej wieczorem pociąg ruszył w dro-
gę, zostawiając na peronie amatorów zakładów, których
złośliwe dowcipy doprowadziły Milnera do najwyższej
złości.

— A co, ile stawiasz pan na tego bezwładnego siła-
cza? — pytał bogaty plantator bawełny, stojącego obok
gentlemana.

— Ani dwudziestu pięciu centów! — odpowiedział
z wesołym śmiechem zagadnięty.

— Zawsze przyznaj pan, jest on coś wart, choćby dla
swojej niepowszedniej wagi..

— Może na wagę, ale jako partner w grze Hypper-
bona...

— O, partner to nazbyt mało obiecujący; nie wart
bodaj i złamanego szelaga...

Złożony do wagonu Tom Crabbe, leżał ciągle jak
odrętwiały; szczęściem podróż ta nie będzie już długa. Mil-
ner obliczył z zadowoleniem, że zaledwie sto sześćdziesiąt
milionów dzieli ich od stolicy Stanu Teksas, którego powierzch-
nia obejmuje siedemdziesiąt pięć milionów hektarów.

Dla turysty wszakże byłoby pokusą wielką zwiedzić
ten kraj zroszony wodami rzek: Rio-Grande, Antonio, Bra-
zos, Trinity i kapryśnej Colorado, kraj, gdzie koczowały
dawniej plemiona Komanszów, gdzie dziewicze lasy bogate
w magnolie, sykomyry, akacje, palmy, dęby, cyprysy i ce-
dry nęcą swą tajemniczością; gdzie rozciągają się całe ogro-
dy drzew pomarańczowych, lub dzikością swą osobliwe
pola kaktusów u podnóża pięknych wzgórz na południo-za-
chodzie, wzgórz będących jakby zapowiedzią niebotycznych
górz Skalistych. Kraj, którego pola uprawne wydają lepszy
gatunek trzciny cukrowej aniżeli Antylle, lepszy tytuń niżeli
Maryland lub Virginia, a nawet wyższej wartości bawełnę
niż Mississippi i Luizjana, kraj sławny swym gatunkiem by-
dła i najpiękniejszą w Ameryce rasą koni.

Ale cóż to wszystko obchodziło leżącego jak martwa
bryła Toma Crabba lub wpatrzonego weń Johna Milnera?...

Tego samego jeszcze wieczoru pociąg zatrzymał się
na dwie godziny na stacji miasta Houston, będącego niejako
głównym składem produktów kraju, dowożonych tu jesz-
cze wodami Trinity, Brazos i Colorado, na tratwach lub
statkach, nie wymagających większego pogłęбления.

Nareszcie 13 maja, wczesnym rankiem, pokrzepiony
już nieco Crabbe, stanął u celu swej podróży w Austin,
w którym się skupia przemysł tej okolicy bogatej w pokła-
dy żelaza, miedzi, manganu i gipsu, oraz w łomy marmuru
i granitu

Austin jest miastem więcej jednolitem, więcej ame-
rykańskim od innych w Teksas, które jak El-Passo
albo El Pressido składają z dwóch odrębnych dzielnic,
jednej amerykańskiej z domami drewnianymi lub murowa-
nemi, drugiej z nędznymi chatami, zamieszkałemi przez
ludność na wpół meksykańską. Nieliczne też kółko Ame-
rykanów zebrało się na dworcu w chwili przyjazdu pociągu,
zapewne w zamiarze stawienia pewnych sum na drugiego
partnera, którego im los przysłał z odległych ziem Illinois,
a który przyznać trzeba, o wiele już lepiej przedstawił się
im aniżeli mieszkańcom Galveston lub Huston.

Rzeczywiście, Tom Crabbe stając na ziemi Teksas-
kiej, pozbył się ostatecznie swej niepokojącej bezwładno-
ści, z której go tak długo ani troskliwa opieka i prośby,
ani nawet zakłęcia Milnera wyprowadzić nie zdołały. Wpra-
wdzie chwiały się jeszcze i potykał idąc, ale cóż w tem dzi-
wnego, skoro przez tyle dni organizm jego zmuszony był
odżywiać się jedynie własnymi tylko zasobami, mimo, że te
były tak bogate, iż mogłyby mu wystarczyć jeszcze
na długo, zanimby się zupełnie wyczerpały.

Na szczęście złe minęło, olbrzym zapragnął jeść i za-
brał się do pożywienia z takim nadmiernym apetytem, tak
pochłaniał piczenie wołowe, baranie, zwierzyne, owoce
i desery, popijając whisky, herbatą i kawą, że jak zasiadł do
stołu rano tak powstał od niego dopiero wieczorem. Po
doskonale przespanej nocy znowu zabrał się do jedzenia
i tak dalej bez zmiany, aż do szesnastego maja

Milner, który zrazu patrzył na to z wielkiem zadowo-
leniem, począł nareszcie z pewną obawą obliczać, jaki kolo-
salny rachunek przedstawi mu w końcu do opłaty restaura-
tor hotelowy.

Ale Crabbe ani na chwilę nie zatroszczył się o kosztą,
a odzyskując szybko utracone siły, stał się znowu dawną
potężną maszyną o kształtach ludzkich, który takich siła-
czy jak Corlett lub Fritzmonts tylokrotnie do nóg swych
zwał.

Jeden i jeden — dwa.

Do hotelu, a raczej oberży „Sandy-Bar,” przy ważkiej
uliczce miasta Calais, w Stanie Maine, przybyło pewnego
rana dwoje podróżnych, mężczyzna i kobieta, których wi-
doczne utrudnienie świadczyło, że musieli odbyć daleką
i uciążliwą drogę.

Skromna ich powierzchowność oraz bardzo pospolite
w Ameryce nazwisko Field, pod którem jako małżeństwo
kazali zapisać się do książki, zwróciło na nich o tyle tylko
uwagę właściciela zajazdu, iż zmierzył ich badawczym wzro-
kiem, dla zapewnienia się, czy aby ci nowi goście będą
mieli czem zapłacić chociażby najskromniejszy rachunek
hotelowy.

Po co właściwie ludzie ci przybyli do tego małego,
portowego miasteczka na dalekim krańcu prowincji, zajmu-
jącej najbardziej na północ wysuniętą posiadłość państwa—
dla czego dodali swoje dwie jednostki do owych stu sześć-
dziesięciu jeden tysięcy ludności, rozsiadłej na całym obsza-
rze stanu, którego powierzchnia zajmuje połowę terytorium
zwanego ogólnie Nową Anglią? Nikt się tam nad tem pyta-
niem nie myślał zastanawiać.

Pokój na pierwszym piętrze, jaki państwo Field zajęli
w pomienionej oberży, nie był wcale wykwinny; drewniane
łóżka, stół, krzesła i umywalnia, stanowiły całe jego ume-
blowanie, ale widok z okna rozkładał się daleko za rzekę
Saint-Croix, której lewy brzeg jest już kanadyjskim.

Gdy niewielką walizkę, którą przyniósł posługacz
z dworca kolei, ustawiono w jednym kącie, a w drugim zna-

lazły dla siebie stosowne miejsce dwa grube parasole obok starej torby podręcznej i państwo Field pozostali już sami, pierwszą ich czynnością było staranne zaryglowanie drzwi wchodowych, a następnie uważne nasłuchiwanie pod ścianami przyległych pokoi dla upewnienia się, że nie mają sąsiedztwa, któreby kępowało ich rozmowę.

— Nareszcie — rzekł mężczyzna z ciężkiem westchnieniem, siadając na krześle — nareszcie jesteśmy u celu podróży.

(d. c. n.)

Pogadanka Wieczora.

Zebralo się w ciągu tych ostatnich tygodni kilka listów w mojej tece, ponieważ nie mogę odpowiadać w każdym numerze, żeby nie zabierać zbyt wiele miejsca, więc niech się nie dziwią korespondenci moi, że im od czasu do czasu tylko odpowiadam. Z zajęciem odczytałem listy Inżyniera i Miechowity. Ten ostatni wspominał, że z pomocą starszych wykonał doświadczenie elektryczne bez przyrządów, ale chciałbym też wiedzieć, czy kto inny je próbował i z jakim powodzeniem. Mnie udaje się prawie zawsze, jeżeli papier nie jest za gruby. Pyta mnie Boruta (domyślał się po tym pseudonimie dzielnego Kujawiaka z okolic Łęczycy) jak rozwiązywać arytmogryfy i łamigłówki kryształowe, zamiast wyjaśnienia, radzę mu niech sam dojdzie, porównyując zadania z rozwiązaniami. Ręczę, że Lisek, któremu sprytu pewnie nie brak, dopomoże mu w tem względzie. Od Orla Czubatego będę oczekiwał dłuższego listu.

Powracam jeszcze do labiryntu Transwaalskiego, z powodu którego otrzymałem kilka listów. Znakomitą analizę tej łamigłówki i jej zasad przysłał ojciec Strzałki i Laszki. Przy takim ustawieniu i połączeniu miast dojść do Pretoryi po gróbach czarnych liniach możliwe jest tylko z opuszczeniem jednego miasta, ale kombinacji jest przeszło 800. Nie mogę podać treści tego pouczającego listu, ale z polecenia Redakcyi ośmielam się podsunąć myśli jego autorowi, czy nie chciałby kiedy dla czytelników Wieczorów, ułożyć tego rodzaju trudniejszą, a na ścisłem rozumowaniu i wyliczeniu opartą łamigłówkę. Przyznaję chętnie p. Francuzce, że autor labiryntu skorzystał z ręcznika z tego, że publiczność zwróci uwagę tylko na połączenia grubemi liniami czarnemi, przedstawiającymi niby drogi lądowe, a przeoczy czyli raczej nie zwróci uwagi na linię czarną brzegową, łączącą Capetown z Durbanem. Skoro jednak zrobimy pierwsze posunięcie z Capetownu do Durbanu po tej linii brzegowej to następnie możemy dojść do Pretoryi, trzymając się warunków i nie opuszczając żadnego miasta (bo właściwie opuściliśmy pierwsze t. j. Capetown) pięciu sposobami, z których jeden dla jej ciekawości podaję: Capetown-Durban linią brzegową, potem De Aar, Colesberg, Kimberley, Fourteyu Streams, Pryburg, Mafeking, Nylstroom, Pietersburg, Leydsdorp, Komatieport, Barberton, Middelburg, Harrismith, Charlestown, Ladysmith, Estcourt, Pie-

termaritzburg, Dundee, Heidelberg, Johannesburg, Bloemfontein, Klerksdorp i Pretorya.

Na zakończenie opowiem wam fakt prawdziwy o pięknym czynie pewnego amerykańskiego chłopczyka z San-Francisco, Leland Stanford, w młodziutkim wieku odziedziczył po ojcu i krewnych ogromną, milionową fortunę, ale Bóg, obsypując go tak szczerze bogactwem, nie dał mu zdrowia. Matka jego na intencję uzdrowienia jedynego syna założyła w mieście wspaniały ogród dla zabaw dziecięcych, w których słabowity Leland z lubością przyglądał się igraszkom i ćwiczeniom licznych rzesz swych ubogich lecz szczęśliwszych rówieśników. Po pewnym czasie wywiozła go matka do Europy szukać porady u znakomitości lekarskich starego świata. Ale nic nie pomogło. Przed samą śmiercią w Rzymie rzekł on do matki: — Pragnę, aby te wszystkie dzieci, co się bawiły w naszym ogrodzie w San-Francisco, mogły się dalej uczyć i być szczęśliwymi, niech mamusia to zrobi. — Spełniając tę ostatnią wolę dziecka, pani Stanford, wzniosła obok ogrodu liceum i uniwersytet pod nazwą Leland Stanford, w którym tysiące młodzieży kształci się, wspominając z wdzięcznością imię biednego małego milionera.

W. R.

SZARADA

Pierwsze wspaniałe w ziemi naszej nieodmiennym biegu,
Płynie zwykłym porządkiem dni swoich szeregu.
Drugie z *trzeciem* przedstawia materyał bogaty,
Z jedwabiu, albo wełny na wykwinne szaty.
Trzecie z *czwartem* zadane, bywają fatalne —
Bez względu czy fizyczne, lub też są moralne.
Wszystko wraz są to ptaki z żądzą napastniczą,
Co przymusowo z ludźmi dzielą się zdobyczą.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Wisłoki dla Czarnuszki i Bielaska.

Z następujących sylab: A — a — czy — cher — chim — cho — cha — dak — dyr — dyk — ki — ko — la — lu — lmp — in — jo — je — na — no — nik — pał — so — son — ri — ry — rye — sna — ser — tar — o — u — u — wój — wo — wal — wski — za.

Ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery złożą imię i nazwisko poety polskiego, końcowe zaś imię i nazwisko sławnego astronoma. Znaczenie wyrazów: 1) Imię historyka pol. 2) Kanton w Szwajcaryi. 3) Strażnik brzegów morskich. 4) Miasto w Palestynie. 5) Wysoki stan temperatury. 6) Drzewo iglaste. 7) Nakrycie głowy na wschodzie. 8) Część ubrania górala. 9) Wewnętrzna warstwa kory drzewnej. 10) Siedziba bogów greckich. 11) Boginie germańskie. 12) Rzeka w Syberii. 13) Miasto n. Dnieprem. 14) Poeta pol. 15) Ptak z rodz. grzebiących.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

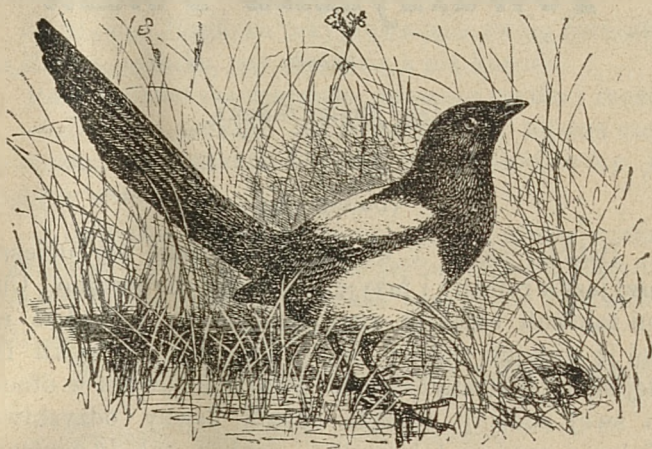
W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Teatr na wyspie w Łazienkach (z ryc.) — Historia środków komunikacji przez Władysława Umińskiego (z ryc.) — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Jerzy Waszyngton. — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Pogadanka Wieczora. — Łamigłówki. — Dodatek: Sroka przez Maryę Weryho. — Pan Plaksiński, wiersz. — Towarzyszka Feluni, przez Izę Moszczeńską. — Łamigłówki i rozwiązania. Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Pojednani, powieść z czasów Napoleona I-go przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 8 Апрель 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



Sroka.

Pewnego poranku rozległ się na podwórku przeraźliwy świągot: cze! cze! cz! cz! cz...

Spłoszone wróble zerwały się z ziemi i usiadły na dachu, gołębie jeść przestały i łebki do góry zadarły; nawet Kurta, pies stary, chciał pobiedz w kierunku głosu — już warknął, nastawiwszy uszu, lecz spostrzegłszy winowajczynię, odrazu umilkł.

To sroka tyle wyrządziła hałasu i niepokoju.

— No — myśli Kurta — donośny głosik dał ci Pan Bóg. Całe podwórko poruszyłaś.

Sroka tymczasem usiadła na parkanie, i rozglądała się dokoła; ogonkiem kręci, skrzydła podnosi, jakby się pochwalić chciała ładnymi lśnjącymi piórami.

Wyszła gospodyni i wylewa pomyje do śmietnika.

Woda ściekła, a obierzyny na wierzchu zostały; sroka jakby tylko na to czekała: zleciała prędko na śmietnik i z apetytem wielkim odpadki zjadać zaczęła.

Niedługo i kury nadleciały, za niemi kaczki, indyki, perliczki... Zaroiło się teraz na śmietniku, a każdy coś dla siebie znajduje.

Sroka najzwawiej się kręci pomiędzy niemi, jakby dawna znajoma, a ptaki też łaskawie na nią patrzą.

— Cz! cz! — zawołała naraz sroka, i odleciała.

— Już ma dosyć — pomyślał kogut — pocziwie ptaszysko, nie to, co ten indyk żarłok, wszystko by nam gotów zabrać.

A sroka tymczasem na stajni siadła, i rozglądała się gdzie kurczęta chodzą...

Niedługo spostrzegła, jak maleństwa siedziały w piasku i grzały się na słońcu — jedno tylko zabłąkało się w trawie i głośno piszczy...

Jak strzała rzuciła się sroka, porwała kurczę i zaciągnęła na sąsiednie drzewo.

Rozszarpała pisklę w kawałki i pochłonęła tak łapczywie, jakby dziś nie jeszcze nie jadła.

Po takiej uczcie, spiesznie oczyściła sobie dziób, poprawiła pióra, ciężko poruszając skrzydłami i poleciała do ogrodu.

— A! srocza, srocza! — zawołały dzieci — powiedz czy goście jadą?

— Cz, cz! I skrzeczała donośnie, jakby chciała powiedzieć „co tam dzieciom do gości, ja tu poco innego przyleciałam.”

— Jaki śliczny ptak, a jak się kręci, a jak się jej ogon lśni, raz zielony, drugi raz niebieski — a teraz patrz jak główkę przechyla ku nam.

— Może ona rozumie, co do niej mówimy?

— Kto wie, może i rozumie, wszak podobno sroki można nauczyć mówić?

Ale ptak nie słucha tej rozmowy, wciąż patrzy na piękne soczyste gruszki.

Dzieci pobiegły dalej, a sroka do owoców się zbliżyła: zjadła parę śliwek, dziobnęła po drodze parę malin, a potem wygodnie przykucnęła na gałęzi i z wielkim apetytem zaczęła jeść gruszkę.

Byłaby może na tem nie skończyła, ale ogrodnik tamtędy przechodził, więc ją spłoszył.

— Cz! cz! — zaskrzeczała tuż nad głową, jakby mówiąc: — zobaczycie jak wróble dadzą się wam we znaki, panie ogrodniku, tyle owoców przez lato napsują, że Boże ucho, ale o tem, że sama jadła, ani wspomni...

Od tego czasu, wizyty sroki powtarzały się coraz częściej...

Bawiło to bardzo gospodynię Pawłową, że sroka takim jest częstym gościem na jej podwórku, cieszyły się dzieci, że taki ładny ptak w ich ogrodzie przebywa, a nawet ptactwo domowe miało ją za swoją przyjaciółkę.

Co prawda, ginęły nieraz kurczęta, kaczęta młode, ale posądzano o to tchórza, sowę, jastrzębie, i inne drapieżniki — lecz nikomu przez myśl nie przeszło posądzić srokę.

Szkody w owocach przypisywano też przeróżnym ptakom, prócz sroki.

— Taki ładny, wesoły ptaszek, czyżby chciał komu szkodę wyrządzić — mówiono nieraz.

I byłaby trwała owa przyjaźń ze sroką nie wiedzieć jak długo, żeby nie nastąpił wypadek:

Pewnego dnia, zginięły Pawłowej medaliki srebrne, które chwilowo położyła na oknie. Rozpoczęły się poszukiwania na wszystkich stronach, we wszystkich kątach, ale napróżno.

— Nikt inny, tylko chłopaki ze wsi porwali mi medaliki. Czekajcie nicponie, ze mną żartów niema — powiada do siebie Pawłowa, i postanowiła nazajutrz rozpocząć poszukiwania.

Jakoż bardzo raniutko wstaje gospodyni, a ubierając się wciąż w okna zagląda, czy którego łobuza nie dojrzy, wtem. — Try-r-r t rtt! coś ciężkiego przeleciało. Wygląda oknem, i coś widzi... sroka niesie kurczę w pazurach.

Jak nie zacznie Pawłowa krzyżeć, jak nie zacznie wymyślać sroce od okrutników, niegodziwców, aż mieszańcy z całego podwórka się zbiegli.

Dowiedzieli się wkrótce wszyscy o przestępstwie, jakie sroka popełniła i ogrodnik miał też co dodać.

Taką więc nienawiścią zapalał do ptaka, że byliby go zabili na miejscu, ale brakło strzelby w domu.

Medaliki gospodyni znalazły się, ale dopiero na jej sieni. Gdy liście wszystkie opadły, spostrzeżono na dzikiej gruszy, co stała na miedzy duże gniazdo, przykryte chróstem. Chłopaki zaraz domyślili się, że to gniazdo sroki i postanowili je przeszukać.

W gnieździe tym były medaliki, a oprócz tego wiele, wiele innych rzeczy świecących: naparstek, guziki, szkiełka, blaszki. Musiała Pawłowa przeprosić chłopców, że o kradzież ich posądziła, ale za to na srokę jeszcze więcej pomstować zaczęła.

— To złodziej, zbrodniarz — wołała zawzięta — zgiń, przepadnij!

Teraz na pierwszy dźwięk głosu sroki wypędza ją z sadu i podwórka.

Taka zniewaga widać dotknęła boleśnie srokę, postanowiła więc przenieść się do innej wioski.

Marya Weryho.

Pan Plaksiński.

Obudził się Piotruś rano,
Ale z miną zadąsaną,
Bo zły, że siostrzyczka mała,
Jeszcze w swem łóżeczku spała,
Więc jął płakać: bu - u - u!

Przy śniadaniu wciąż się kręci,
Przestróg nie chce mieć w pamięci,
Suknię splamił, wylał kawę...
Nie przeprosił za tę sprawę,
Lecz znów beczy: bu - u - u!

Szuka książek, kajeciku —
Że nie w szafce, lecz w kąciку
Znalazł wszystko zabrudzone,
Więc odchodzi znów na stronę,
I znów słyhać: bu - u - u!

Czy to ranki, czy wieczory,
Piotr do płaczu zawsze skory,
Coś mu zawsze nie w skład idzie,
Lecz miast radzić sobie w biedzie,
Tylko płacze: bu - u - u!

Wstydz się, synku, mazgaj z ciebie!
Nie pomoże płacz w potrzebie,
W niedołęgów stoi rzędzie
Kto miast działać — zawsze, wszędzie,
Tylko jęczy: bu - u - u!

Fr. M.

Towarzyszka Feluni

PRZEZ

JZĘ MOSZCZEŃSKĄ.

(Dalszy ciąg).

Babcia, ciotki i wujaszek ogromnie się ucieszyli z przyjazdu rodziny i przyjęli ją bardzo serdecznie. Choć i oni żalowali szczerze zmarłej dzieciny, jednakże rzadziej ją widując mniej do jej obecności przywykli i łatwiej się z jej stratą oswoili. Pani Solimowska w otoczeniu swej rodziny zaczęła spokój dawny odzyskiwać, a Felunię wszyscy tak kochali, pieścili, tak ją zabawiali i podarunkami obsypywali, że z każdym dniem więcej oswajała się ze swem nowem położeniem i coraz lepszym humorem się cieszyła. Jednakże rola jedynaczki nie przestała jej być przykrą. Opowiadano jej ciekawe bajeczki, ciotki prowadziły ją na spacer, pokazywały ładne obrazki, dawały zabawki, lecz ona chętnie odstąpiłaby większą część otrzymywanych podarków i wesołych rozrywek, za towarzyszkę zabawy miłą i wesołą, jaką dawniej była dla niej Stefcia.

Raz zobaczyła w kuchni małą dziewczynkę, mniej więcej swego wieku, która jej bardzo zmarłą siostrzyczkę przypominała. Miała takie same duże błękitne oczki i taki sam jasno blond warkoczyk, rączki tylko miała czerwone i jak gdyby zziębnięte, a ubranie bardzo czyste, ale bardzo liche. Nie miała nawet ciepłego płaszczyka, tylko przewiązana była jakąś chuścina polataną, a na nóżkach miała buciki tak podarte, że gdyby była chodziła zupełnie boso, pewnoby jej dużo zimniej nie było. Ale dziewczątka było dziwnie jakieś milutkie i miało tak figlarne błyski w swoich niebieskich oczkach, że Felunia stęskniona za towarzystwem dzieci, poczuła nagle ogromną do niej sympatę.

— Jak ci na imię? — zapytała, podchodząc do przybyłej.

— Marynia — odpowiedziało dziewczątka.

— Pobaw się trochę ze mną; ja jestem Felunia; możesz mnie tak nazywać. Mam ładne zabawki, pokażę ci. Właśnie chciałam lalkę położyć do łóżka, bo ją główka boli. Będziemy ją razem rozbierały.

Maryni twarzyczka rozpromieniła się na wzmiankę o lalce, ale nieśmiało spojrzała na swoją matkę, która właśnie przyszła do kuchni odnieść robotę i czekała na zapłatę. Była to biedna kobieta; z mężem i sześciorgiem dzieci mieszkała w tym samym domu w suterynie, a zarabiała cerowaniem pończoch i łataniem bielizny, bo mąż

na utrzymanie tak licznej rodziny pracą swoją starczyć nie mógł. Felunia widziała ją już przedtem parę razy, ale jej córeczkę po raz pierwszy. Nazywali ją wszyscy Józefową.

— Niech Józefowa pozwoli Maryni trochę się ze mną pobawić, mnie się bardzo nudzi samej.

— Niewiadomo, czy starsza pani pozwoli. Niech się panienka mamy i babci zapyta, a jeżeli się nie będą o to gniewały, to ja Marynię zostawię.

— Pozwolą, pozwolą — zawołała Felunia; — czekajcie tylko, aż wrócę — i pędem pobiegła do mamy.

— Mamo, Józefowa przyprowadziła swoją córeczkę, taka śliczna, milutka, czy mogę się z nią bawić?

Pani Solimowska spojrzała na swoją matkę i rzekła:

— Dziecku smutno bez towarzystwa; biedna moja jedynaczka! i pogłaskała Felunię po główce, a łzy jej stanęły w oczach.

— Ja myślę — rzekła babcia, chcąc zatrzeć rozmowę wrażenie — że można pozwolić jej bawić się z Marynią. Józefowie biedni ludzie ale bardzo przyzwoici i poczciwi, myślę, że dzieci wychowują troskliwie.

— Więc można? można? — pytała natarczywie Felunia.

— Owszem, tylko bawcie się grzecznie.

Felunia była uszczęśliwiona. Oddawna już pozbawiona była towarzystwa odpowiedniego dla swego wieku! Jej nowa przyjaciółka, gdy pierwszą nieśmiałość opauowała, okazała się bardzo miłą i wesołą dziewczynką. Przez kilka godzin śmiech i szczebiot dziecinnych głosików rozlegał się w mieszkaniu, a i pani Solimowska słysząc z daleka gwar tej wesołej zabawy, bardzo była zadowolona, że jej córeczka swój dawny humor odzyskała i przypomniała jej niedawną a niestety bezpowrotnie minioną przeszłość.

Gdy wchodząc do jadalnego pokoju zastała tam Marynię, uderzyło i ją także pewne podobieństwo do Stefci. Rozrzewniona pogłaskała dziewczynkę po główce i ze łzami w oczach przyglądała jej się przez chwilę.

— Jaka ona podobna do tej mojej — rzekła do swej matki — mam takie uczucie, jak gdybym je obie znów widziała przed sobą.

Od tej pory Marynia przychodziła codziennie bawić się z Felunią, zawsze równie gorąco oczekiwana i równie serdecznie witana przez nią. Ale poczciwe serduszek Felci nie mogło zostać obojętne wobec widocznych do-wodów nędzy, jaką cierpiała jej towarzyszka.

Już w pierwszych dniach znajomości uprosiła panią Solimowską, aby Marynię obdarzyła ciepłem i całem ubi-wiem, bo jej biedne nóżka musiały nieraz ziębnąć, zwłaszcza gdy ją matka po jaki sprawunek do sklepu posyłała. Córka Józefowej, choć mało co starsza od Felci, nie wiodła jednak próżniaczego życia, jak jej bogatsze rówieczki i nie zawsze miała czas wolny, by go na zabawie z Felunią spędzać. Nieraz musiała spełniać różne polecenia swej matki, chodzić na narożnik ulicy, by ojca swego, który był posłańcem, na obiad zawołać, musiała też i w domu czasem zamiatać, młodszego rodzeństwa pilnować, słowem była już trochę pożyteczną w domu. Wśród rozmowy dowiadywała się o tem wszystkim Fe-

lunia a prócz tego słyszała i inne rzeczy, które w niej smutne budziły zdziwienie.

Raz naprzykład na zapytanie, czy nie będzie musiała przerywać zabawy, aby ojca na obiad zawołać, odpowiedziała jej Marynia:

— Nie wiem, czy u nas będzie obiad dzisiaj, bo mama nie ma pieniędzy, więc, jeśli jej w sklepie dadzą co na kredyt, to będziemy jedli, a jeżeli nie, to nie.

Felunia nie wiedziała jeszcze co to znaczy „na kredyt,” ale doświadczona Marynia wytłumaczyła jej, że jak niema za co kupić, to czasem dadzą bez pieniędzy, jeżeli się przyrzeknie zapłacić później.

Innym znów razem Marynia przysłała do niej bardzo zziębniętą, a Felcia dowiedziała się od niej, że Józefowie już od dwóch dni ognia nie palili, herbatę u sąsiadów gotują i piją dla rozgrzania się, a suchym chlebem się żywią.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

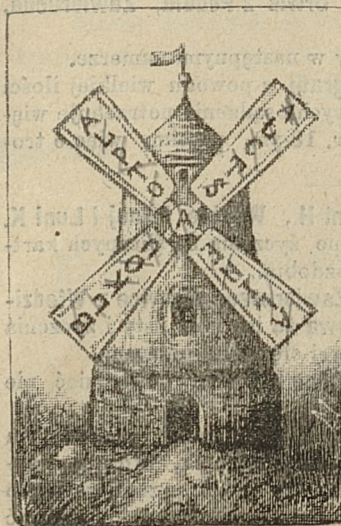
p. Mirotę.

Śp.j dz. c. n. śp.j m. l. k.
L. l. l. k. l. l.
N. c. d. s. n. m. p. s. n. k.
Cz. m. p. d. z. j. t. l.
N. z. b. w. n. p. s. z. c. t.
M. m. n. m. c. z. s. s.
M. s. z. s. s. d. r. b. t.
W. c. s. z. b. z. h. l. s.
l. l. p. r. w. j. s. w. j. m. l.
Dz. l. c. t. k. t. l.
w l. z. c. z. k. z. l. z. b. l.
L. l. l. k. l. l.

Kropki zastąpić samogłoskami.

ŁAMIGŁÓWKA W WIATRACZKU.

od Srebrnej Gwiazdki dla Znicza.



Z 20 liter będących na skrzydłach wiatraczka i dwudziestej pierwszej znajdującej się pośrodku, ułożyć cztery wyrazy składające się z 6 liter ze wspólną końcówką literą.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Krzew z czerwonymi jagodami.
- 2) Drzewo pospolite w naszym kraju.
- 3) Znane warzywo.
- 4) Roślina jadana na surowo.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

Zagadki kryształowej: Mazurek.

Zagadki: Zwierciadło.

Łamigłówniki lezbowej:

1 2 3 — 4 5 — 6 7 + 8 9 = 100. Wstawiono tylko trzy znaki.

Łamigłówniki kryształowej:

M
r o k
K a n e a
M e l i n d a
M o n i u s z k o
k o r s a r z
k r z y k
s k i
o



Skrzynka do listów.

Śnieżycy za pamięć i życzenia dziękujemy.

Panu Pr. D. Adres p. Z. Mor.: gub. Płocka, przez Mławę w Zulinku.

Pani M. P. Zaginiony numer posłano. Listy dla pana J. Ch adresować można do administracji *Wędrowca*, Nowy Świat nr. 41 księgarnia Paprockiego.

Bolesławowi H. Komplet „Wieczorów” z roku zeszłego otrzymać możesz w Redakcji za rub. 5 w oprawie z angielsk. płótna.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: J. Tom z Zakopanego, Rybitwa z nad Wisły i Orzeł Srebrny, Marzycielka, Jadzia M., Szarotka i Muszka z Orłowa, Gustawa i Jadwiga W., Bezimiennie, Urwis z Podola, Zawierucha, Gosposia, Romcia z P.

Ks. M. R. Życzenie spełnimy w następnym numerze.

Sprawozdanie z konkursu kaligrafii z powodu wielkiej ilości nadesłanych prób (około 400), których osądzenie potrzebuje więcej czasu, ogłosimy za tydzień w Nr. 18-ym, prosimy więc o trochę cierpliwości.

Białej Lilijce, Wiosence, Mini H., Wróżce Leśnej i Luni K. najserdeczniej dziękuję za przysłane życzenia na ślicznych kartkach, które mój zbiór powiększą i ozdobią.

Również wdzięczną jestem Zawierusze, Marylce z Włodzimierskiej, Szarotce i Myszcze z Orłowa za ich miłe listy i życzenia świąteczne, jako też za pamięć, której się nadal polecam.

Pseudonimu Feluni R. Szarotce i Myszcze powiedzieć nie mogę, bo sama go nie znam.

Niezapomnę z nad Se. nie radzę zmieniać pseudonimu na Wiochnę, bo mam już kilka korespondentek, które go używają. Zmień lepiej nazwę rzeki na tę, która przepływa około Kijanicy. Zapowiedzią dłuższego listu uradowana, oczekiwać nań będę niecierpliwie, a tymczasem życzę byś się podczas wakacji świątecznych wesoło zabawiła. U nas święta już skończone

i po miłych dniach wypoczynku trzeba się było zabrać do zajęć codziennych.

Zatokę chętnie zaliczam do grona swych korespondentek, ale proszę ją o obszerniejsze listy i radzę starać się o staranniejsze pismo.

Krupkę witam też dzisiaj, jako nową korespondentkę i na miły liścik pośpieszam z odpowiedzią. Ja również z niecierpliwością oczekuję wiosny i ciepła, długa i ciężka zima bardzo nam się dała we znaki. Rodzeństwu twemu za pamięć dziękuję i nawzajem pozdrawiam was wszystkich serdecznie.

Kochana Gosposiu zanim zwrócę się do ciebie, za twem pośrednictwem dziękuję bardzo twej szanownej mamie za jej dopisek. Mam nadzieję, że doniesiesz mi niezadługo, jak wam upłynęły święta, a że wesoło, nie wątpię, bo przyjazd rodzeństwa musiał się do tego głównie przyczynić. Nazwiska Śnieżycy zdradzić nie mogę bez jej zgody, powiem ci tylko, że mieszka dość daleko, obdarza mnie często bardzo miłymi listami.

Trzy Raki z Siedlisk ucieszyły mnie bardzo swym listem, na który oczekiwałam tak długo. Często myślałam o was i zaczynałam się niepokoić tak długim milczeniem, z wielką też radością powitałam wasze pismo na kopercie. Rozumiem jednak dobrze, że przy lekcjach niema czasu na korespondencję i bardzo pochwalam, że naukę macie na pierwszym planie, gdy jednakże znajdzie się wolna chwila, nie zapominajcie o Jaskółce, która najzupełniej odzwiecznia wasze uczucia.

Romcie z P. zapisuję do grona moich korespondentek, proszę tylko, by mi się lepiej dała poznać. Łamigłówniki i 40 kop. dla biednych dzieci złożyłam w Redakcji.

Rybitwie z nad Wisły dziękuję dzisiaj podwójnie za jej miły liścik i życzenia w nim zawarte oraz za skłonienie swego brata Orła Sr. do korespondencji ze mną. Cieszę się z pozyskania tak miłego korespondenta, pierwszy list zajął mnie bardzo, a nie wątpię, że następne będą równie zajmujące. Za ofiarowane gołębie bardzo dziękuję, z przyjemnością przyjąłabym taką parę, ale nie wiem czy byłoby im dobrze w zamknięciu, niech więc lepiej pozostaną na swobodzie z towarzyszami, a ja za dobre chęci Orła S. wdzięczną mu jestem.

Czarna Jagódka rozsądna jest osobką i za taką miałam ją zawsze, to też się cieszę, że nie zniechęcając się pierwszym niepowodzeniem obiecuje przysłać mi nadal próbki swego stylu i twórczości, obiecuję wzajemnie odczytywać je uważnie i spieszyć z odpowiedzią. Książki, o które zapytujesz kosztować będą 1 rub. Szanownej twojej mamie za pamięć dziękuję. Leśną Paprotkę i Szczupaka z Kobieli pozdrawiam.

Bądź przekonana Córko M., że twój list podobał mi się bardzo, jak i list twej siostrzyczki Markietanki. Uradowana jestem z pozyskania tak miłych korespondentek, które od pierwszego razu odgadły, jaki rodzaj listów jest mi najmiłszy. Zaprezentowały mi się z wieku i nazwiska, zapoznały ze swym otoczeniem, upodobaniami, nauką i zabawami i od razu stały się dobrymi znajomymi.

Niezapominajcie z nad Pisny. Wkrótce po rozstrzygnięciu konkursu na kaligrafię, ogłosimy konkurs na wypracowania i roboty ręczne, bez ograniczenia wieku. Życzę ci całem sercem powodzenia w egzaminach, abyś je zdała pomyślnie i wesoło używać mogła wakacji.

Śnieżycy mojej drogiej bardzo dziękuję za kilka słów, które mi obdarzyła podczas świąt minionych. Oceniam twoją pamięć i serce, bo wiem jak w chwilach ciężkich zmartwień trudno jest wziąć pióro do ręki. Jurasiovi za pamięć wdzięczna jestem.

Biała Mewa listem, a następnie śliczną kartką z Wenecji pobudza mnie do prawdziwej wdzięczności. Jeszcze przed otrzymaniem kartki, posłałam ci „Wieczory do Wenecji pod wskazanym adresem. Opis uroczej przejażdżki w gondoli rozbudził miłe wspomnienie dwukrotnego pobytu mego w tym mieście, podzielałam twój zachwyt i gdybym miała skrzydła moich imienniczek, poróżniłabym odwiedzić cię, na placu Ś-go Marka. Nie mogąc jednak marzeń tych urzeczywistnić, polecam się twojej pamięci i proszę o słówko na kartce.

Jaskółka.